

„Istnieją historie skrywane przez całe życie. Pisane z palącej potrzeby wydobywania ich z siebie i ujrzenia przed sobą na papierze. Zaraz potem przychodzi jednak myśl, że nie nadają się do rozpowszechnienia (...)”.
Umberto Saba, Ernesto

Ziemie Odzyskane, lata 50.

Najpierw była śmierć. I żadne z nich nie przewidziało, że stanie się początkiem wszystkiego.

Nie opowiedziano mi tej historii. W każdym razie nie od razu, zwykłym trybem, linearnie. Wyłaniała się kawałek po kawałku, w półsłówkach, nieopowiedzeniach. Powracała w wyznaniach, latami składając się w całość. Parę razy z różnych ust relacjonowano mi to samo zdarzenie.

O śmierci Ewy jej matka opowiadała uporczywie. Każdy dzień, nastrój, pogoda mogły wywołać temat. Opowiadała na tych samych emocjach, prawie beznamiętnie „Tyle to już lat, przecież”, liczyła na placach. „Ewa miałyby teraz 47, 49, 62 lata...”.

Ewa stała się więc jedynym znanym mi z imienia noworodkiem-staruszką, byłam przecież w wieku, gdy czterdziestolatek wydaje się stojącym nad grobem starcem. Opowieść o śmierci pierworodnej córki jej matka kończyła zawsze w ten sam sposób - milkła nagle, odwracała się do mnie bokiem lub wręcz tyłem i podejmowała przerwane zajęcie. Kiedyś - przecież nie dla dochodzenia prawdy, której istnienia nawet nie przeczuwałam - ale ot tak, dla podtrzymania rozmowy zapytałam głupio.

— I co?

— I nic.

Uznałam więc, że śmierć zatrzasnęła się za Ewą jak drzwi, za którymi gromadziły się wszystkie fakty, historie i zdarzenia, które dopiero mogłyby zaistnieć.

— I co?

— I nic.

Nic - to nic, punkt ledwie zaznaczony na osi czasu, czysta kartka, ręka opatrności nie zostawiła żadnego słowa.

— To wszystko — powiedziała matka Ewy, bo dalej rzeczywiście nic nie było. Przyszedł moment, kiedy zorientowałam się, że to, co brałam za koniec, było początkiem tej historii.

Wrocław, lata 70.

Pytanie: „Dlaczego milczała?”, zadałam sobie zbyt późno. Milczał także Jot i Bliźniaki, wtedy już całkiem dorosłe. Bliźniaki były sporo starsze ode mnie i uważały, że z taką sisiumajtką jak ja się nie rozmawia. Bo wstyd.

Cała ta opowieść ma wstyd pod podszewką. Dużo później, gdy już studiowałam Jot kilkakrotnie powracał do tematu wstydu.

— Czy na tych wykładach z teologii moralnej uczą was także teologii niemoralnej? Co w życiu wolno, a czego nie wolno?

— Prócz uniwersalnych wartości, każdy ma chyba własny probierz — wymądrzałam się, dumna, że rozmawia ze mną jak z równą sobie. — Być może kryterium jest sumienie.

— To raczej narzędzie. W dodatku bez podziałki. Musi być jakaś miara.

— Wstyd?

— O! Oo! — zakpił — to byłoby zbyt proste. I zwodnicze. A co z fałszywym wstydem? Co z pruderią i kołtuństwem? Co z naszą dość mizerną wiedzą o człowieku? Kto rozstrzygnie co jest wstydem, co strachem, a co kompleksem? Dziś dopiero, kiedy już go nie ma, umiem rozpoznać kaliber tej rozmowy. I rozumiem skąd wziął się jej prowokacyjny ton. Wtedy wydawała mi się niewiele znaczącą słowną potyczką.

Kielecczyzna, lata 40.

Bliźniaki urodziły się po śmierci Ewy.

Ewa przysła na świat mniej więcej rok po ślubie. Więcej niż rok.

To ważne, bo mówimy o czasach w których liczenie ile miesięcy po ślubie przyszło na świat dziecko należało do społecznych zwyczajów. No, powiedzmy - środowiskowych. Niektóre sąsiadki liczyły ostentacyjnie. Liczyło się na palcach po to, by wytykać palcami. „To ta. Z tym obcym. Miastowym”.

„Miastowy” brzmiało jak obelga i tak miało brzmieć. „Bo jak miastowy, to różnie może być. Ja zawsze mówię, żeby chłopaka z sąsiedztwa brać.

Wiadomo kogo się bierze i nie znikąd”

Jot nie był miastowy i nie był znikąd. Podlasiak, ale u siebie żenić się nie chciał. W ogóle nie chciał się żenić, ale truli mu, że trzeba. Mus. Mus to mus.

Dziewczynę wziął siebie z kieleckiego. Ona piękna, on przystojny jak czort.

Na zdjęciu ślubnym, które wisiało nad łóżkiem oboje mają rumieńce i loki.

Loki naturalne, a rumieńce domalowane przez fotografa.

Po wyjściu od fotografa to samo - albo naturalna uroda dnia powszedniego, albo nadmierny retusz, by życie nabrało rumieńców. Ślub w roku 1947.

Urodziny Ewy 1949, Bliźniaki przysły na świat pięć lat później.

Breslau/Wrocław, 1945

Obojga już nie ma. Szkoda, że nie można napisać, „żyli długo i szczęśliwie”.

Chociaż, że długo to fakt. Długo i treściwie. Treściwie i pracowicie. Pracowicie jak szlag. Start mieli niby jacyś bogacze. Pokój z nyżą na Ziemiach

Odzyskanych. Woda na korytarzu pół piętra niżej, ubikacja pół piętra wyżej. Lepiej byłoby odwrotnie: z wodą schodzić, za potrzebą zbiegać w dół. Ale nie narzekali, niewielu zaczynało z mieszkaniem. Mieszkanie z odzysku, drobiazgi do domu też. Broń Boże, żaden szaber. Choć z tych ziem pociągi zwane szabrownikami jeździły w Polskę regularnie. Ich to nie dotyczyło. Tyle, że czasem się coś znalazło pod gruzami, ale żeby z czyjegoś domu, choćby opuszczonego... W życiu! Oboje z uczciwych rodzin. „Nie twoje nie rusz”, mawiał stary Jot ojciec Jota. A u niej na kielecczyźnie, to by chyba ręce odrąbali jakby cudze wzięła. Na bazar przy placu Grunwaldzkim mówiło się szaberplac, a oni uparcie kupowali tylko od Niemców, tych niedobitków, co jeszcze zostali i wyprzedawali się ze wszystkiego. Żona Jota łyżki wypatrzyła, dla siebie batystową bluzkę z mereżką, dla męża koszulę w prążki. Bo Jot lubił się ubrać. Jak się wystroił w tę poniemiecką prążkowaną koszulę, to nie było takiej, co by się za nim nie obejrzała. Idą. Razem idą. Pod rękę. Do kościoła pewnie, bo niedziela. Ale Jot dodatkowo swoje wyjście jeszcze ma. Raz w tygodniu do łaźni miejskiej róg Curie-Skłodowskiej i Nehringa. Ona w domu wodę grzeje dla siebie, dla Bliźniaków, do ocynkowanej wanienki wlewa, wiadra z korytarza po schodach nosi, a Jot do łaźni, co czwartek - jak panisko.

Ziemie Odzyskane, lata 40.

Historia kąpeli jest uproszczoną historią naszego kraju. Jest też historią cywilizacji, o czym niezłomie świadczą: łaźnia rzymska, Zuzanna w kąpeli i Narcyz przeglądający się w tafli wody. Nasza zabiedzona powojenna Polska zostawia swój niedomyty ślad w dowcipach i kabaretonach. Starsi Panowie śpiewając ojczyźnie na dobranoc, śnić kazali rodakom

„że luźnym zdążają tramwajem, wytworną konfekcją okryci
że darzą uśmiechem się wzajem i wszyscy do czysta wymyć...”.

Szkolny dowcip o kąpeli jest najstarszym sucharem obrazującym tamtą epokę.

— Jasiu, co to za czas: ja się kąpię, ty się kąpiesz, on, ona ono się kąpie...?

— Sobota wieczór, panie profesorze.

Budynek Maxa Berga, szczęśliwie nie ucierpiał w czasie wojny, więc Dawna Łaźnia Miejska działała nieprzerwanie. Na drugim piętrze ulokowano kobiety pierwsze piętro przeznaczono dla mężczyzn. Studenci i żołnierze mieli wejście bezpłatne. Jot płacił.

Kielecczyzna, lata 40.

Historia kąpeli, jak świat światem jest nierozzerwanie związana z historią miłości.

W rodzinie mówiło się, że kąpiel jest obsesją Jota i to musiało jakoś boleć jego żonę skoro często, gdy wychodził do łaźni - płakała. A pewnego dnia - i mam na to świadka - doprowadzona do ostateczności uporczywymi ablucjami męża rzuciła za nim ze złością „Idź, idź, diabeł napuścił już wody!”.

Czy mówiąc to pamiętała, że oni także poznali się w podobnych okolicznościach?

Jot zobaczył swoją przyszłą żonę w kąpielni na jednym z zakoli Dąbrówki, która teraz nosi nazwę Silnicy i zapragnął jej jak Dawid Batszeby. Z tą szczęśliwą różnicą, że nie musiał zabijać Uriasza. Różnic było zresztą więcej. Przyszła żona Jota miała smukłe biodra, płaskie piersi, szerokie ramiona - typ androgeniczny, niczym więc nie przypominała tej rembrandtowskiej, może jedynie nieskazitelnym kolorem skóry, ale tego możemy się tylko domyślać. No, więc domyślamy się, my dwie: Dziewczynka z Bliźniaków i ja. Siedzimy na wersalce, oglądamy zdjęcia, ona podsuwa mi wspomnienia z podkieleckiej wsi, gdzie jeździła do dziadków na wakacje, ja próbuję powiązać wątki.

— Widzisz tę łachę piachu? Tutaj ojciec poznał mamę, tu dokładnie, nad rzeką. Myśmy też się tam kąpali. Ależ musiało go wziąć! Tyle, że szybko się nią nacieszył. Dziewczynka z Bliźniaków, dziś sama pod siedemdziesiątkę, nie kryje niechęci twierdzi, że ojciec matce życie zatruwał swoim pięknoduchostwem.

— Mama na święta podłogi szoruje, pastuje, kolana pozdzierane do krwi, a tata kokardy na firanach wiąże! Wyobrażasz to sobie?! Kokardy! Fircyk! Od jakiegoś czasu nie mówi o swoim tacie inaczej jak tylko: Fircyk lub Cacus-Glancus i wzrusza wzgardliwie ramionami. Kiedyś odważyłam się skomentować, że śmierć zabrała jej ojca, ale nie zabrała niechęci.

— Bo ja się go po prostu wstydziłam! — wybucha. — To ma być facet?! I dalej głosem pełnym pretensji.

— A wiesz, że myśmy się urodzili dużo później, bo się ojciec długo nie starał?!

— Długo się starał — poprawiam odruchowo.

— Właśnie, że się nie starał, do naszej mamy się nie zbliżał, wiem co mówię.

— Od mamy wiesz?

— No, coś ty! O takich rzeczach się z mamą nie gadało. Chyba bym się ze wstydu spaliła! Ona zresztą też! Po śmierci mamy ciotka Aniela mi powiedziała. Dziwne, że się nie rozeszli, bo on wtedy w domu nawet nie nocował. Ja bym takiego faceta pogoniła, ale nasza mama była z porządnej rodziny, rozwodów nie uznawali, więc wreszcie zagroziła ojcu, że dziecko to mus — wtedy dopiero zaszła w ciążę - wiem co mówię.

Przy okazji przeprowadzki wyszperała jakieś dokumenty i okazało się, że nie wiedziała. Odkrycie przypłaciła załamaniem nerwowym.

— Ojciec zabija mnie jeszcze z za grobu. Ja czułam, że coś jest nie tak! Boże ile on musiał mamie krwi napsuć!

Nikt nie wiedział. Nikt z rodziny, ze znajomych, z bliskich przyjaciół nawet. Tylko Jot, jego żona i ojciec Bliźniaków oczywiście.

Być może tego dnia, kiedy żona prosiła Jota o dziecko. a może nawet zagroziła mu, żeby się starał bo jak nie to... No, tłumaczyć wiele nie trzeba - dziecko, to mus. Być może tego dnia zostało ustalone, że tak się właśnie stanie. Ale z kim się stanie, tego na razie nie ustalono. A zatem żona Jota, nie wiedziała kim będzie ojciec Bliźniaków, a tym bardziej, że będą to Bliźniaki, oczywiście.

Wrocław, czerwiec 2023

„Istnieją historie skrywane przez całe życie. Pisane z palącej potrzeby wydobywania ich z siebie i ujrzenia przed sobą na papierze. Zaraz potem przychodzi jednak myśl, że nie nadają się do rozpowszechnienia”. Zostaną opublikowane po śmierci Bohaterów i staną się skandalem, parafrazując. Nie, nie skandalem. Skandalem były te czasy w których żyli nasi ojcowie.

Podlasie, lata 30.

Jot ma piętnaście lat, a jego przyjaciółka Wandzia, czternaście. Spotykają się regularnie i dużo rozmawiają. Dzieciaki się z nich śmieją, że zakochana para, ale oni nic sobie z tego nie robią. Tadeusz, brat Wandzi, jest od nich dużo starszy, mimo to nosa nie zadziera, siada czasem i rozmawia z nimi, opowiada o obrazach, które wiszą w ich domu na ścianie bo to jest przedwojenna adwokacka rodzina, więc dywanów i obrazów mają tam w bród. Jot słucha, że „to Siemiński, a to Kossak, a to prawie Van Dyck. No, prawie, prawie... bo kopia. A właściwie nie kopia. Ojciec, chciał podobny mieć i powiesić w stołowym, żeby na obrazie były żona, córka i pies. Zdaniem Tadeusza, obraz zyskał bo Wandzia jest ładniejsza od tamtej dziewczynki z oryginału. — Wiadomo — śmieje się brat Wandzi — nie każdy może mieć taką ładną córkę jak nasz tata.

Wandzia czerwieni się jak mak. Cała jest jak mak. Jot patrzy i zakochuje się, natychmiast i na zabój. Nie, nie w Wandzi. W Tadeuszu. Wieki miną, nim powie o tym komuś bliskiemu: „Wszyscy uważali, że przychodzę do niej. Ona także była tego pewna, a ja przychodziłem tam dla jej brata. I wiesz, płakałem nocami, bo myślałem, że jestem jedyny taki na świecie. Chciałem się zabić”.

Wrocław, lata 50.

Gdy zmarła ich pierworodna córka, Jot pomyślał, że to przeznaczenie. Potem, że wyzwolenie. Potem, że uwikłanie. Bo teraz, gdy żałoba po Ewie minie, to znowu... Jego żona zawsze powtarza, że dzieci to mus i czeka, że mąż powie coś w rodzaju: „no, ale przecież ja z tobą bez przymusu”. Lub przynajmniej: „mus to mus” i uśmiechnie się, że to przecież żartem było. — Mus mus... — przedrzeźnia Jot, zły, że się tak wpakował. Na siebie, na swoją głupotę. I na Boga w którego już chyba nie wierzy, ale ciągle ma do niego pretensje, że go tak urządził. Okrutna jest złość Jota, więc i on jest okrutny i rani. Każde słowo - brzytwa

— Mnie do tego musu już nic i nikt nie zmusi. Jak dla ciebie mus, to sobie funduj dziecko, tyle że nie ze mną.

Żona Jota płacze i mówi, „Oj ty, ty... Chłopaku niedobry... Po coś ty się żenił?!”. I jeszcze: „Gdybyś był tylko odrobinę mądrzejszy byłbyś dużo lepszy. Lepiej żebyś tych słów nigdy nie wypowiedział!”.

No, ale słowo padło i jak w czytaniu biblijnym - „ziarno zostało posiane”. Żona Jota nawet nie myśli na jaką trafiło glebę, może nawet nie wie na początku, że

postanowienie już w niej kiełkuje. „Ziarno zostało posiane”, myśli żona Jota i że skoro mąż tak chce, to może nawet tak trzeba, bo dzieci to mus, więc należy się rozejrzeć za siewcą.

Siewcą jest El, który wykłada na uniwersytecie, gdzie ona dorabia sobie na pół etatu. El - filozof, bibliofil i koneser sztuki. Jak zbliżyli się do siebie, nie wiem. W ogóle mało wiem. Trudno przypuszczać żeby żona Jota przyszła do profesora i powiedziała, że jej dziecko potrzebne. I że mąż z nią nie chce, ale na dziecko się zgadza, więc niechby El też się zgodził. I El się zgodził, ale wcześniej napisał do Jota list.

Wrocław lata 50.

El mówił studentom, że rzeczy nienazwane nie istnieją. I że nie chce popadać w banał, ale że wszystkim tak jest. Nawet z miłością. Sława El na Uniwersytecie Wrocławskim przetrwała. Miał swój udział w założeniu Ossolineum. Na zajęcia przynosił stosy książek. Lata dla otwartej myśli były niesprzyjające, ale myśl wolna i nieskrępowana istniała przecież. W przejściu podziemnym. Za winklem. W kularach. Wolność ojczyzny przetrwała, również za sprawą takich jak on - nie dał się zamknąć, bo nie dał się sprowokować. Nonkonformizm nieostentacyjny. Ale też niczego się nie bał. O paszport się nie ubiegał. Był samotny. Żona zmarła przed wielu laty. Dzieci nie mieli, była tylko siostrzenica żony, którą traktowali jak córkę. Opiekowała się Elem do końca, pod koniec życia zaczęła do tego mówić tato.

Bliźniaki, których El był biologicznym ojcem także mówiły do Jota tato. W ten sposób bilans wychodził mniej więcej na zero.

Wrocław 1955

Jot był moim wujem. Ściśle rzecz biorąc bratem mojej babci, ale młodszy od niej o siedemnaście lat pokoleniowo bliższy pozostawał mojej mamie. Wujek Jot pachniał zagraniczną wodą kolońską, kupowaną w Pewexie i dużo czytał. Słuchał Wolnej Europy. „Nieszczęście na siebie ściągniesz”, przestrzegała go siostra, a moja babcia. Śmiał się: „To jedyna stacja której słucham, bo wolność jest moim ulubionym sposobem istnienia”. Przyniósł mi kiedyś „Kompleks polski” Konwickiego i powiedział: „Czytaj, dziewczynko, żebyś wiedziała w jakim kraju żyjesz”. I wrócił do rozmowy o wstydzie i o tym, że ode mnie zależy jaki będzie nasz kraj. Kolekcjonował dobrze wydane albumy z malarstwem i cenne obrazy. Powtarzał: „Język jest naszą ojczyzną”. Odziedziczyłam po nim część książek - jakieś dwie półki świetnej prozy. Przeglądając ich tytuły powinnam była zacząć domyślać się choć części zatajonej prawdy. Ta druga zatajona też zostawiała ślady.

— Nie zabieraj dzieciaków, jak idziesz coś załatwiać na uniwersytet, bo przecież chłopak, to skóra zdarta z profesora — mówi Jot do żony, a mojej ciotki, a ja boję się zapytać ile z tego zrozumiały Bliźniaki. List jaki ich mama zaczęła pisać, ale nigdy go nie skończyła nie pozostawia wątpliwości.

„Anielciu, Siostrzo Moja Kochana, jestem jeszcze trochę słaba, ale szczęśliwa bo już w domu. Jot. zawiadomił Was, że urodziły się bliźniaki chłopak i dziewczynka. Silne zdrowe, Bóg mnie wysłuchał i przebaczył, nie będzie musu starać drugi raz. (...) To cud, u nas przecież nikt nie miał bliźniaków”.

Wrocław 2012-2023

Nie spodziewam się znaleźć wiele, ale może uda się choć trochę. Wierzę w opatrność, bo przecież ta opowieść sama się pisze. Pisze się od, bagatela, no... dobrych siedemdziesięciu lat, a pewnie i dłużej, bo Jot zmarł przed dwudziestoma laty mając lat siedemdziesiąt siedem, więc... - teraz ja gimnastykuję palce - niedługo będzie stulecie jego urodzin.

Na kolejny trop trafiam niespodziewanie, ktoś biegły w przetrząsaniu archiwów, wynajduje mi jej adres, co nie jest nawet takie trudne, znam przecież nazwisko profesora. Tłumaczę, że piszę reportaż o inwigilacji środowisk naukowych w czasach peerelu, niech to posłuży za dobry początek rozmowy, obiecuję, że jeśli się spotkamy wyjawię więcej.

Jest otwarta, mówi od razu, że nie jest biologiczną córką profesora, tylko siostrzenicą jego żony.

— Wuj nie miał dzieci — dopowiada — to znaczy miał, ale wychowywały się w innej rodzinie.

Ta otwartość daje nadzieję, więc najostrożniej jak można mówię, co wiem, dodając natychmiast, że jestem tu wyłącznie ze względu na opowieść.

Przedstawiam się jako daleka kuzynka Jota.

— Kim jest Jot? — pyta, wyjaśniam, że tak nazywam w swoim reportażu wujka, brata mojej babci, formalnego ojca jej przyrodniej siostry.

— Jeśli już - to mojego rodzeństwa — prostuje. — Choć, pokrewieństwa między nami nie ma, jestem tylko powinowatą. Z tego co wiem, urodziły się bliźniaki.

— Tak, ale chłopak z tych Bliźniaków już nie żyje.

— Ach, tak, przykro mi. Wuj archiwizował życie. Każdą korespondencję, nawet najbardziej błahą pisał przez kalkę. Do swoich biologicznych dzieci nie napisał żadnego listu. Do ich matki kilka.

— Zachowały się?

— Nie. Prosił żeby zniszczyć całą prywatną korespondencję. Robiłam to przy nim. Sukcesywnie, miesiącami. Do śmierci przygotowywał się metodycznie. Czytałam głośno każdy dokument i po każdym zapadła decyzja. Zostawić. Zniszczyć. W jednym z listów wyjawia, że został ojcem „nie swoich dzieci”. I że mąż tej kobiety życzył sobie by tak się stało, nie chce jednak by sprawa ujrzała światło dzienne. Każdą kartkę skrupulatnie niszczyłam. W gruncie rzeczy, to był nasz najlepszy czas. Nigdy tak dużo ze sobą nie rozmawialiśmy. Przerobiłam przy okazji kawał historii Polski Ludowej i spory kawałek podziemia. Biedny ten nasz kraj. W złym miejscu leży. Zostawiłam tylko teksty do paryskiej Kultury. Z listu do męża tej kobiety wynika, że on się na wszystko godzi.

— Tak. Jot nie chciał być ze swoją żoną. Ich biologiczna córka zmarła zaraz po urodzeniu. Zależało mu jednak na tym, żeby zachować pozory. Był w szachu ryzykował skandal obyczajowy, utratę pracy, samotność, a nawet więzienie.

— Więzienie?

— Tak. Akcja Hiacynt. Lata 80. Na początku nie wiedzieli, że to jakaś programowa operacja. Jako mniejszość seksualna zawsze byli prześladowani. I zawsze w ukryciu. Księży i artystów na chwilę zostawiono w spokoju, na nich służba bezpieczeństwa miała już haki. Inwigilowano inne środowiska, chodziło o to żeby mieć wtyczki we wszystkich warstwach społecznych. Założono wtedy około jedenastu tysięcy teczek.

— Jot był gejem?!

Zdumienie powoduje, że moja rozmówczyni domyka każde słowo. Brzmi to jak: Jot? Był? Gejem?

— Tak.

— Myślałam, że chodziło o impotencję lub, że to jakaś miłosna historia.

— Miłosna. Jot i jego partner mieli założone tzw. różowe teczki, nie były, oczywiście, różowe, teczki to zwykły element zastraszania społeczeństwa.

— Dlaczego nie wyjechali z kraju?

— Mogę się tylko domyślać. Chyba ze względu na pracę. Ka, partner Jota, był lekarzem, wykładowcą na Akademii Medycznej. Byli parą przez całe życie.

Pabianice, Łódź lata 40.

Ka bał się w życiu wiele razy, ale dwa razy bał się śmiertelnie. Pierwszy raz w czasach moczarskich. Był z Pabianic i z rodziny protestanckiej w dodatku. W Pabianicach Moczar, mroczna postać PRLu zamknął protestantom kościół „nie macie prawa się modlić”. Ka doświadczył typowych dla tamtych czasów prześladowań. Mówi, że nie miał najgorzej. Inni siedzieli w celi, metr na metr, w wodzie po pępek. Bo za ojczyznę należało walczyć po właściwej stronie. A zresztą, Ka, żadna strona by nie pomogła, z Biblii wyniósł, że ta jego skrywana największa tajemnica to w najlepszym razie „oścień dany mu przez Pana”. To nowotestamentowa wersja light, bo Stary Testament za takie bezceństwa groził ogniem piekielnym „obrzydliwością dla Pana są mężczyźni współżyjący z sobą”. Kościół to nie był dla niego żaden azyl. Co do kraju, tym bardziej bez złudzeń - ze złej rodziny pochodził. Potrójnie złej: inteligenckiej, protestanckiej i akowskiej. Jakimś cudem Ka wyszedł z przesłuchań żywy, tyle że psychicznie był wrakiem człowieka.

— Żyjemy w kraju zarządzanym przez strach. Ten diabelski komunistyczny system nastawiony jest na wyniszczenie społeczeństwa. Za każdym razem, gdy szedłem na przesłuchanie, myślałem, że jeśli jakimś cudem odkryją moją naturę (Ka nie mówił skłonność, tylko właśnie naturę) już stamtąd nie wyjdę. Kołatała się we mnie myśl, że na nich też przyjdzie czas. Bałem się obsesyjnie. Wierzyłem, że ci, którzy zmontowali nam to piekło, nie pozostaną bezkarni. Być może to wtedy właśnie Ka pierwszy raz zacytował Ginsberga „diabeł napuścił już wody”. Bładł i trząsł się na samo hasło stalinizm.

Gdy Ka opowiadał Jot trzymał go za rękę. Milicja w obu budziła lęk.

Wrocław 1985

Milicjantów było dwóch a scena filmowa. Ka siedział (nomen omen) w restauracji Obywatelska i czekał na Jota. To mógł być 85 lub 86 rok. Kawa w szklance, cukier w kostkach, aluminiowa łyżeczka oparta o spodek.

— Przyjdź tam — mówił Ka — ci co byli poza nawiasem porozumiewali się szyfrem. Dobre miejsce - blisko (lecz nie za blisko) Akademii Medycznej i blisko (lecz nie za blisko) Łaźni Miejskiej, gdzie się poznali. Złe miejsce - z siedemset metrów dalej przy ulicy Grunwaldzkiej był komisariat milicji. Dwóch podeszło do stolika i chcą go legitymować.

— Dokumenty.

— Dlaczego? — Ka sparaliżowany strachem udaje, że go to nie rusza.

— Wylegitymować można każdego obywatela bez podania powodów — mówi jeden trochę ugodowo.

A ten drugi z twarzy widać, że prostak, wali donośnie tak żeby pół sali słyszało.

— Podejrzenie o pederastię — i oczywiście wszyscy patrzą na Ka ciekawie. —

Chyba, że obywatelu na narzeczoną czekacie — i w rehot.

Ka do końca swoich dni uparcie wracał do tej sceny, kiedyś wyznał, że gdyby miał wymazać z życia jeden tylko wątek, to wcale nie przesłuchanie bo wtedy siedział za ojczyznę i czuł się jak bohater lecz właśnie tę scenę w Obywatelskiej. „Czułem się jak śmieć”.

— Wstyd może być palący. Obsesyjnie myślałem o tym, czy na sali mógł być któryś z moich studentów. Jakby mi się koszula zajęła ogniem, choć to nie była już epoka non iron. Patrz, tak się nawet mówi, „spalić się ze wstydu”.

PRL lata 60.

Jot przyszedł na spotkanie mocno spóźniony. W tamtej Polsce, tramwaje jeździły jak chciały, a na taksówkę czekało się godzinami. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Ka podpisywał na komisariacie Kartę homoseksualisty i deklarował, że jest nim od urodzenia i nie uwodzi nieletnich. Jot siedział przy ich stoliku i czytał.

W upartym czekaniu na powrót Ka zatraczał się w tej czynności. Przenosił się w świat alternatywny. Słaby był z niego chłoporobonik. Skąd mu się to wzięło? Prosty chłopak przecież. Przy Ka rozwinął się niebywale. Czytał kompulsywnie. Z birbanta jakim był na początku, stał się statecznym panem. Z estety - koneserem sztuki. Z zachłannego czytelnika - erudytą. A dobór lektur! W kompleksowym programowo spójnym czytaniu obcych i rodzimych klasyków, w księgozbiórce jaki po nim odziedziczyłam powinnam była odkryć tajemnicę. Gide, Wilde, Ginsberg, Foucault, a z naszych: Zawieyski, Hertz, Andrzejewski, Iwaszkiewicz. Jakies teksty z paryskiej Kultury, kilka książek z wydawnictwa Nova. Według wiadomego klucza. Na marginesach

podkreślenia, wykrzykniki, w środku fiszki, z cytatami, które dziś jeszcze robią na mnie wrażenie.

„Prawda o płci, nie istnieje. To władza narzucona na ludzkie ciała. Taka prawda, to tylko ruchoma armia metafor”.

Paul Michel Foucault

SB także interesowało się literaturą według tego samego klucza lecz z całkiem innych pobudek, oczywiście. O jednym z pisarzy funkcjonariusz napisał w raporcie. „Paweł Hertz przeżywa tę swoją nienormalność raczej wydawałoby się tragicznie. Nigdy sam nie dowcipkuje na ten temat, jest raczej samotnikiem smutnym”, zaznacza jednak: „Od lat widuje się go z przystojnym mężczyzną urzędnik o którym były pogłoski, że był związany z MSW (...)”.

PRL lata 60./80.

Według jednej z esbeckich notatek w Polsce w pięciu badanych miastach „(Warszawa, Wrocław, Gdańsk, Łódź, Katowice) zarejestrowano 778 homoseksualistów. Najczęściej wywodzących się ze środowiska inteligenckiego: pisarze (23), aktorzy (62), urzędnicy (41), pracownicy naukowcy (18), dziennikarze (8), inżynierzy (8), adwokaci (2), lekarze (4)”. Jednym z zarejestrowanych lekarzy był Ka.

Wrocław czerwiec 2023

Co mogę napisać, a co powinnam zataić? Dziś, gdy moja kuzynka, Dziewczynka od Bliźniaków, wie już, że ojciec był gejem, ale utrzymuje, że nic ją to nie obchodzi. Nic a nic. Wie także, że z przyszywanym wujkiem Ka, który był naszym prywatnym lekarzem rodzinnym, stanowili parę.

Cieszy się, że oboje z bratem nie są biologicznymi dziećmi Jota. Zna nazwisko profesora El i pamięta, że raz - jeden jedyny - wszyscy troje: mama, brat i ona, byli u niego w domu, dostali wtedy zagraniczne zabawki: brat blaszany samochód, ona lalkę, która mruży oczy. Neeee, co za głupstwa! Oczywiście, że nie ma tych zabawek. Przecież to tyle lat! Nie chce o tym mówić.

— I co? — próbuję jeszcze.

— I nic — staje do mnie bokiem.

A ja rozumiem, że skoro nic - to nic.

Dziewczynka od Bliźniaków jest przecież nieodrodną córką swojej matki i pieczołowicie pielęgnuje jej wstyd. Trudno oprzeć się wrażeniu, że wstyd rozgościł się w naszej rodzinie i zapuścił w niej korzenie na dobre.

Boli mnie ta kropka po której nie nastąpi nic więcej. Boli nie mniej niż minione, niż tajemnice, które są osnową tej opowieści. Boli mnie mój kraj, o którym Ewa Lipska napisała: „ani go połknąć ani wypluć”. Szukam czegoś, co przywróci wiarę w przyszłość. Szukam i znajduję.

„Nie ma wojen przegranych, są tylko zwycięstwa odłożone na jutro”,
Umberto Saba, *Ernesto*, Triest, sierpień, 1953.

Wstyd, godło Pliszka